

# Zielony Konstanty

Kira Gałczyńska

# Zielony Konstanty

Kira Gałczyńska

# Zielony Konstanty

Projekt okładki i układ graficzny książki

*Cecylia Staniszevska*

*Ewa Łukasik*

Zdjęcie na okładce z archiwum Autorki

Redaktor prowadzący

*Katarzyna Krawczyk*

Redakcja i indeks nazwisk

*Dorota Koman*

Korekta

*Anna Sidorek*

*Elżbieta Jaroszuk*

Copyright © by Kira Gałczyńska, 2011

Copyright © by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Świat Książki

Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.

ul. Hankiewicza 2, 02-103 Warszawa

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-247-2664-6

Nr 45105

## Spis treści



ROZDZIAŁ I  
Do Czytelnika 7



ROZDZIAŁ II  
Gałczyn – Natalia i o nim wiedziała! 13



ROZDZIAŁ III  
Ulica Towarowa 38



ROZDZIAŁ IV  
Moskiewskie oczarowania 48



ROZDZIAŁ V  
...serce z kory i okaryna... 63



ROZDZIAŁ VI  
I w „Smoku”, i w kresowym ogródku... 78



ROZDZIAŁ VII  
Ciągłe siedzę w pace... 99



ROZDZIAŁ VIII  
Żołnierzyk, Rycerzyk, czyli panna Noel 121



ROZDZIAŁ IX  
Przed bale i po... 139



ROZDZIAŁ X  
Szczęście w Wilnie 159



ROZDZIAŁ XI  
Tylko iza nie plami... 183



ROZDZIAŁ XII  
O sennych ptakach i nocach w Aninie... 204



ROZDZIAŁ XIII  
Tyle lat zmarnowanych w udęcie 221



ROZDZIAŁ XIV  
Medycyna z drugiej strony lustra 246



ROZDZIAŁ XV  
Chwieją się fundamenty światów... 264



ROZDZIAŁ XVI  
W zaczarowanym Krakowie 283



ROZDZIAŁ XVII  
Dzielną Weronika Hort 313



ROZDZIAŁ XVIII  
Zakochany biegnę po Szczecinie 325



ROZDZIAŁ XIX  
Czas kłatki 344



ROZDZIAŁ XX  
i strunę odnalazłem, co srebrnie podzwania... 360



ROZDZIAŁ XXI  
gdy wiatr się w głazach uspokoi... 392



ROZDZIAŁ XXII  
Już tylko nocne niebo... 412



ROZDZIAŁ XXIII  
Cóż, Kocham światło... 431

Postscriptum 463  
Indeks nazwisk 477  
Ważniejsze pozycje bibliograficzne 491  
Źródła ilustracji 493

*...zawsze wierzyłem, że człowiek  
choć raz może się zakręcić jak niebo  
i dłużej niż na sekundę.*

*Bal u Salomona*

I przemawia miśrz: Onoszkos.  
Półki dorozka dorozka,  
a koni koniem, dyszel dyszelem,  
półki woda płynie w Wasie,  
jak tutaj wszyscy jesteście,  
zawsze będzie w każdym mieście,  
choćby nie wiem jaka biedna:  
**ZACZAROWANA DOROZKA**  
**ZACZAROWANY DOROZKARZ**  
**ZACZAROWANY KON.**  
(Zaczarowana dorozka - 1949)

100. ROCZNICA URODZIN  
KONSTANTEGO ILDEFONSA  
GALCZYŃSKIEGO  
1905 - 1957

PEWNY DZIEŃ OBIEGI POCZTA POLSKA



100. ROCZNICA  
URODZIN  
K. I. GALCZYŃSKIEGO  
*K. I. Gałczyński*  
14.01.2005  
WARSZAWA I



## Do Czytelnika

Na litość boską! Proszę nie odkładać tej książki! Proszę ją włożyć do koszyka, zapłacić, wrócić do domu i zabrać się do czytania. I wtedy okaże się, że dobrze, Szanowny Czytelniku, postąpiłeś. Tej książki nie znasz. Nigdy jej nie czytałeś, choć wcześniej byłeś skłonny sądzić inaczej, zwłaszcza że tytuł nie jest Ci obcy; tom jakby inny, bardziej pojemny, już na pierwszy rzut oka piękniejszy, a zawartość zaledwie partiami znana. Tylko tytuł pozostał ten sam i to on, użyty ponownie, spowodował Twoje wahanie: dlaczego stary tytuł kryje nową treść? Dlatego należy Ci się wyjaśnienie. Oto ono.

Tych kilka słów jest krótką epistołą do kogoś cenionego i jednocześnie zaprzyjaźnionego, czyli Czytelnika – dla każdego autora postaci najważniejszej. Dotyczy ona książki, którą trzymasz w ręku.

Minęło dziesięć lat z okładem od wydania pierwszej wersji *Zielonego Konstantego*. W czasie, jaki przetoczył się nad nami, wydarzyło się „w życiu po życiu” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego wiele ważnych spraw: przybyło mu nowych czytelników, szkół i bibliotek, teatrów i fundacji noszących jego imię, festiwali jego poezji, ukazało się wiele ważnych o nim książek; w pięćdziesięciolecie śmierci Sejm RP uchwalił obchody Roku Gałczyńskiego, które wypełnione zdarzeniami wielkimi i serio – w kraju i za granicą, a także niepoważnymi happeningami i zabawą pokazały nam wszystkim – wrażliwym ludziom czytającym książki – że autor *Zielonej Gęsi* jest wciąż poetą kochanym, czytany, wciąż żywym pomimo szybko mijających lat. Że jego język nie zestarzał się ani na jotę; że jego twórczość nadal wzrusza; że nie przestaje bawić; że jego pozornie kiedyś wydumany absurd stał się polską codziennością. Że nie były mu w stanie zaszkodzić ani postmodernizm, ani

rewolucje, ani zjawiający się i równie szybko znikający celebryci kultury i wyobraźni masowej. Że w niewytlumaczalny dla nas sposób zapładnia tę kulturę, ale jednocześnie trwa w swoim zaczarowanym, osobnym świecie, do którego dopuszczani są coraz to nowi wyznawcy: od uniwersyteckich studentów po entuzjastów hip-hopu. Czy jednak poradzi sobie w naszych niebywałych liberalno-cynicznych czasach (jak je ktoś mądry przy okazji dyskusji o losach mediów dla inteligentów nazwał), w pierwszych latach drugiej dekady trzeciego tysiąclecia? Czas pokaże. Wierzę, że tak, jak to już parokrotnie wcześniej bywało.

Ta książka, właściwie na nowo napisana biografia Konstantego Ildefonsa, pojawia się więc nieprzypadkowo. Odpowiada na swoiste wyzwania czasu, ale przede wszystkim przedstawia zupełnie nowemu czytelnikowi losy – nie raz dramatyczne i pogmatwane – tego nietuzinkowego twórcy, którego dzieło stanowiło swoisty obraz szalonego dwudziestego stulecia. Poszerza, prostuje i uzupełnia znane dotychczas zdarzenia.

W ciągu minionej dekady dotarłam do kolejnych nowych faktów, dokumentów, miejsc ważnych, ale i nieznanych w legendzie Konstantego Ildefonsa. Odwiedziłam bowiem wsie i osady na Mazowszu i ziemi włocławskiej, skąd pochodzili przodkowie poety, choć on sam zawsze powtarzał, że wszyscy Gałczyńscy przychodzili na świat w Warszawie, a do tego pracowali na kolei. Z warszawsko-kolejarskiej przeszłości był mój ojciec szczególnie dumny i dziwiły go moje docieklive pytania, co panowie Gałczyńscy zawodowo porabiali, zanim pan Stephenson dokonał swego epokowego wynalazku. „Zanim pojawiła się para – odpowiadał z przekonaniem w prawdziwość swych słów (no bo jakże mogło być inaczej?) – też pracowali na kołach, tyle że w trakcji dyliżansowej”. „A jeszcze wcześniej?” – drążyłam temat bez litości. „Tego już nikt nie pamięta – odpowiadał zamyślony. – Mogę cię jednak zapewnić – dodawał z pewnym pośpiechem – że nie prowadzili próżniaczego życia, że czytali mądre księgi i grywali na cytrach albo i okarynach, spacerując po polach ubrani w długie białe szaty. Co poniekąd na plecach wyrastały przepyszne pierzaste – zapewne przystosowane do wysokich lotów – skrzydła...” – rozmarzał się. I wtedy, kiedy tak cudownie mieszał genealogię z poezją, kończyła się moja szczeniacka natarczywość i dawałam spokój wypytywaniom o przodków. Ulegałam urodzie tych bajkowych obrazów; pojawiało się we mnie najgłębsze przekonanie, że praprzodkami tego poety musieli być i aniołowie.

Ale w miarę upływu lat, kiedy coraz głębiej badałam i poznawałam życie mojego niezwykłego ojca, coraz częściej wracała sprawa owych skrzydłaczy, ustępujących miejsca zastępom mężczyzn pracujących „na kołach” – w trakcji dyliżansowej, następnie kolejowej. I tu, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, w starych dokumentach odnalazłam zanotowane suchym urzędniczym językiem zdarzenie, iż kolejarzem był nie tylko ojciec poety, Konstanty (co było powszechnie wiadome), ale i dziad o niewyszukanym imieniu Marian. Ojciec pięciorga dzieci (w tym pary bliźnięt), z których troje stracił; jedno z nich otrzymało ładne imię Damazy. Damazy cieszył się życiem zaledwie trzy lata. Przy smutnej okazji rejestrowania dziecięcych zgonów odnotowane zostały zajęcia „zgłaszającego”, a więc Mariana Gałczyńskiego. I tak dziad poety był rządcą w Podlesiu, a wcześniej robotnikiem dniówkowym i służącym w sąsiednich podwrocławskich wsiach; natomiast na początku lat dziewięćdziesiątych XIX stulecia mieszkał już w Warszawie (na ulicy Chmielnej, Brackiej i kolejno kilku innych) i był przez kilka lat „oficjalistą drogi żelaznej”. Pod koniec życia wyjechał jednak z Warszawy i osiadł w rodzinnych stronach; zmarł na początku minionego wieku.

Jestem przekonana, że Konstanty Ildefons tych faktów z życia swojego dziada nie znał i że jego opowieści o charakterze angelologiczno-kolejarskim na temat przodków stanowiły poetycką, pełną wdzięku odpowiedź na moje bardzo konkretne i bardzo niemądre dociekania. Nie znał, ale sprawiłyby mu ogromną radość – co do tego nie mam cienia wątpliwości.

Ta książka próbuje odpowiedzieć na wiele pytań z życia poety, jego bliskich, przyjaciół, którzy zawsze sporo znaczyli w codzienności Konstantego Ildefonsa. Dociera do dawnych zdarzeń, stara się wyjaśnić i oświetlić wszystkie te sprawy, które dotychczas pozostawały zaciemnione, jakby mniej ważne. Próbuje zmierzyć się z ogromem różnorodnych historii, aby znaleźć odpowiedź na wciąż ważne pytanie: jak to było naprawdę? Kim byli jego przodkowie, co robili w życiu, gdzie przychodzili na świat? Czego się uczyli? Jakimi ludźmi byli? Jak kochali? Co stworzyli? Co po nich zostało? Wreszcie – co przekazali poecie?

Stosy pożółkłych już dokumentów (najbardziej dziś wiarygodnych świadectw, wykluczających całkowicie poetycką fantazję, dlatego zapewne nieubianych i pogardzanych przez Konstantego Ildefonsa jako chybione, gdy chce się namalować los kogoś tak niezwykłego jak człowiek), owe prawdziwe świadectwa, do których po wielu trudach dotarłam, przemówiły konkretem, faktem, prozą codzienności. Nie było tu miejsca na poezję. Ich twarda rzeczywistość

stawiała się dysonansem w rozmiłowaniu autora *Modlitwy do Anioła stróża* w jego angelologicznej narracji. Ale przecież badając biografię poety, nie mogłam sobie pozwolić na lekceważenie faktów. Dotarłam więc na ziemię wrocławską i dobrzyńską, spenetrowałam piękne do dziś osady i wsie tej części Polski. Stąd bowiem szedł stary ród Gałczyńskich.

A poza tym, jak w poprzedniej edycji *Zielonego Konstantego*, głęboko sięgnęłam do bibliotek przyjaciół poety, do ich niepublikowanych wspomnień, do moich z nimi kontaktów. Kiedyś byli to pisarze, malarze zapelniający pierwsze strony wydawanych wówczas gazet. Ich obrazy czy książki zostały – zdawałoby się, na zawsze – utrwalone w naszej kulturze. Dziś w najlepszym razie (z rzadka, niestety) trwają w legendzie, literackiej anegdocie. Na ogół jednak wraz z upływem każdego dziesięciolecia coraz częściej zapomina się o nich. Ich głośne kiedyś, kontrowersyjne i obrazoburcze dzieła nikogo dziś nie oburzają, bo mało kto je czyta lub ogląda. Ludzie ci nie zasłużyli na naszą niepamięć. W kilku przynajmniej wypadkach napisali znakomite, ważne dla polskiej literatury książki. Chciałabym skorzystać z okazji i upomnieć się o tych artystów.

Sporo miejsca użyczyłam także recenzentom i krytykom. Ich wpływ na twórcze losy Konstantego Ildefonsa nie pozostawał bez znaczenia.

Ważne miejsce i w tej książce zajmuje *Notatnik* poety, dziennik spisywany przez niego w ciągu trzech miesięcy 1941 roku w czasie niewoli w hitlerowskim stalagu, kiedy był darmowym robotnikiem fizycznym u niemieckiego bauera; prezentuję listy K.I.G., notatki, zapisane przeze mnie okrucieństwa rozmów, opowieści mojej mamy, Natalii. Publikuję także nieznanne lub zapomniane wiersze poety, bo zanim ukażą się one wszystkie w pełnym wydaniu krytycznym, postanowiłam je w biografii poety przywołać. One także stanowią swoisty dokument mówiący dużo o poecie, o czasie, w którym żył i pracował. A więc głos mają fakty, źródła, dokumenty – nie przypuszczenia, hipotezy, domysły. Tym samym jest to najpełniejsza ze wszystkich dotychczasowych biografii (w tym i tych, które sama napisałam) Konstantego Ildefonsa. I jak myślę najrzetelniejsza, najuczciwsza. Bo głos na równych prawach zabierają zarówno miłośnicy tej poezji, jak i jej zdecydowani oponenty.

Gałczyński przetrwał najtrudniejszą z prób: próbę czasu, co nie udało się wielu jego kolegom po piórze – rówieśnikom i młodszym pokoleniowo twórcom, o starszych nie wspominając. Kolejne wydania jego tomów znikają z księgarń – i nie dzieje się tak za sprawą krasnoludków. Jego wiersze lubią śpiewać zarówno estradowi nestorzy, jak i debiutanci. O entuzjastach rapu wspominałam wyżej.

Stał się więc Gałczyński, po raz kolejny, współczesnym dla jeszcze jednego pokolenia młodych inteligentów; nie zestarzał się – wszak nadal bawi i wzrusza, nadal celnie pointuje niejednego współczesny absurd. W wielu wypadkach jego kpiarskie (ale i liryczne) wersy funkcjonują anonimowo.

Dlatego, jak mi się wydaje, pojawił się konkretny powód, aby *Zielonego Konstantego* wznowić w formie wzbogaconej, częściowo napisanej na nowo. Chodziło mi, jak we wszystkich dotychczasowych książkach o Konstantym Ildefonsie, o możliwie precyzyjne poprawienie bardzo licznych przeinaczeń, kłamstw, niedomówień, dowolności interpretacyjnych, błędów i manipulacji, hojnie rozsypanych w wielu omówieniach i pracach krytycznych poświęconych K.I.G. Nie mam zamiaru ingerować w legendę poety – ona bowiem rządzi się dość specyficznymi regułami, żyje własnym życiem, w miarę upływu lat coraz intensywniejszym, coraz trudniejszym do ogarnięcia. Prostuję jedynie te przeinaczenia faktów i zdarzeń (dopuszczałam się ich także ja, nie znając wcześniej wielu epizodów), które w rzetelnej biografistycie nie mogą mieć miejsca, a które na ogół wypływają z niewiedzy, niedoinformowania, wreszcie z lekceważenia potrzeby częstego sięgania do źródeł, do dostępnych zasobów archiwalnych. A takich „drobnostek” w książkach, w pracach krytycznych, we wstępach do tomów wierszy Gałczyńskiego namnożyło się (zwłaszcza w ostatnim czasie) dużo. Pewne przeinaczenia, powtarzane uparcie, stawały się faktem, na który – już w majestacie literaturoznawstwa – powoływali się następni piszący. Walka z tak tworzoną „faktografią” jest niezwykle trudna. Mam nadzieję, że moja książka zatrzyma konfabulacje i mitotwórstwo narastające wokół postaci poety. A nawet jeśli tylko ograniczy dowolne i całkowicie nonszalanckie traktowanie autentycznych historii, dat, nazwisk i nazw, będę uważała swoją pracę za potrzebną i służącą dobrej sprawie.

Powtarzam: ta książka składa się z wielu nowych, udokumentowanych faktów. Jeśli przywołuję jakieś wydarzenie czy na przykład nowe brzmienie wiersza, zawsze ma to potwierdzenie w materiałach źródłowych, urzędowych aktach lub – przecież mowa o pisarzu – w jego rękopisach.

Moja opowieść, mam nadzieję, przeniesie nas do lat, kiedy poezja znaczyła o wiele więcej niż dziś, kiedy dzień za dniem nie pędził w tak zwariowanym tempie, kiedy całkiem możliwe stawało się przekonanie, że „człowiek choć raz może się zakręcić jak niebo”... Kiedy to niebo pełne było gwiazd i spoglądali w nie – obok astronomów i zakochanych – także najzwyczajni ziemianie, którzy lubili po prostu zadrzeć głowę i spojrzeć w niebieskie bezkresy, zatrzymać się

i pomyśleć chwilę. Dziś na to wszystko nie mamy czasu, coraz rzadziej sięgamy po książki, a wielu z nas uważa wiersze za atrybut epok dawno minionych.

W przekonaniu, że może być inaczej, zapraszam do poznania zdarzeń, do spotkań z ciekawymi ludźmi, do napisanych książek i namalowanych obrazów, do wyśpiewanych piosenek, do przetańczonych wieczorów i przepłakanych nocy, do szczęśliwych poranków i pogodnych zmierzchów, słowem – do okruczeń życia, które istotnie miały miejsce i które tworzyły ową mityczną Itakę. A może Farlandię, jak ją nazywał bohater mojej książki. Każdy z nas na swój sposób do niej żegluj, do niej zmierz, choćby nie zawsze świadomie. A czyż nie jest tak, że tęskniąc do Itaki czy Farlandii – prawie zawsze tęsknimy do poezji? Do poezji, która – czy chcemy tego, czy nie – wzbogaca naszą codzienność. Wierzę w to głęboko, odkąd przyswoiłam sobie myśl Kafkafisa: „Zawsze w pamięci musisz mieć Itakę, dotarcie do niej jest twoim przeznaczeniem”.

Moją Itaką stała się Gruzja, skąd pochodzili przodkowie Natalii Gałczyńskiej. Poznałam ten piękny kraj i to pozwoliło mi zbliżyć się do legendy mojej matki, zrozumieć ją na tyle, by w końcu napisać o niej książkę. *Srebrna Natalia* i *Zielony Konstanty* tworzą wreszcie w mojej biografistyce jedność; owe dwa tomy – jak w życiu – przenikają się, dopełniają, wzbogacają. Dane mi było, trochę dzięki przypadkowi, a przede wszystkim dzięki stałej obecności rodziców w moim życiu, przedstawić opowieść prozą na temat owego cudownego lirycznego drobiazgu Konstantego Ildefonsa:

O, zielony Konstanty, o, srebrna Natalio!  
Cała wasza wieczerza dzbanuszek z konwalią;  
wokół dzbanuszka skrzacik chodzi z halabardą,  
broda siwa, lecz dobrze splamiona musztardą,  
widać, podjadł, a wyście przejedli i fanty –  
o, Natalio zielona, o, srebrny Konstanty!